

Jerzy Pelc-Piastowski

Gdzie są ci jeńcy?

Niepodległość i Pamięć 2/3 (4), 95-111

1995

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Jerzy Pelc-Piastowski

Gdzie są ci jeńcy?

Tragiczne dzieje obozów w Kozielsku (Katyń), w Ostaszkowie (Twer, Miednoje), w Starobielsku (Charków), ze wszystkimi ujawnionymi obecnie okolicznościami, przystąpiły trochę - całkiem przypadkowo - problem znacznie szerszy. Dotyczy on zgładzenia znacznie większej liczby oficerów i żołnierzy Wojska Polskiego, także przedstawicieli inteligencji (profesorowie, nauczyciele, lekarze, inżynierowie, urzędnicy), zmobilizowanych w 1939 roku do armii. O nich wszystkich również nie wolno zapomnieć!

Analizując te wydarzenia należy zacząć od sformułowania podstawowych pytań odnoszących się do pierwszego etapu wojny:

1/ Ilu w ogóle żołnierzy polskich znalazło się po 17 września 1939 roku na terenach zajętych przez ZSRR, a stanowiących 51 procent terytorium II Rzeczypospolitej?

2/ Ilu poległo w walkach z wkraczającymi wojskami radzieckimi?

3/ Ilu uwięziono wtedy i zamordowano lub zgładzono w inny sposób, na skutek działań różnych służb ZSRR?

Początkowo, jeszcze w czasie wojny i tuż po jej zakończeniu, w relacjach świadków i w różnych publikacjach wymieniano liczby duże, przekraczające czterysta tysięcy, a nawet pół miliona, żołnierzy zagarniętych we wrześniu 1939 roku przez Armię Czerwoną, a przede wszystkim przez służby bezpieczeństwa ZSRR, głównie NKWD i Wojska Pograniczne, specjalnie użyte do takich celów. Przy czym słowo "zagarnięcie" jest w tym przypadku najłagodniejszym określeniem zbrodniczej akcji.

W następnym okresie wycofano się z tych liczb przyjmując za prawdziwe oficjalne stwierdzenia radzieckie. Spośród nich najczęściej cytowane są dwa: wypowiedź ministra Mołotowa na posiedzeniu Rady Najwyższej ZSRR (31 października 1939 r.) o tym, iż wzięto do niewoli 230 tys. jeńców polskich, oraz zaświadczenie komisarza politycznego Siergieja Kozenikowa, który we wrześniu 1940 roku (pierwsza rocznica napadu na Polskę) w artykule opublikowanym w oficjalnym organie Armii Czerwonej "Krasnaja Zwiezda" podał, że wzięto do niewoli 242 tys. polskich żołnierzy, a wśród nich: 12 generałów, ponad 8 tys. oficerów i ponad 4 tys. podoficerów.

Zwolennicy tych liczb odejmują następnie 42.500 jeńców przekazanych Niemcom w drodze wymiany za jeńców przekazanych Rosjanom (około 13.750), około 20.000 zwolnionych do domów, około 28.000 wcielonych do Armii Andersa, około 10.000 uciekinierów z

obozów, i otrzymują liczbę około 130 tys. jeńców, którzy zginęli bez wieści. Prawdopodobnie trzeba do tych liczb dolożyć około 15-20 tys. żołnierzy służących w Armii Berlinga i około 40-50 tys. wcielonych do armii radzieckiej. Nie wyjaśniony pozostawałby zatem los około 70-80 tys. jeńców. Znany specjalista od tych zagadnień, autor licznych publikacji Zbigniew S. Siemaszko określa liczbę żołnierzy polskich "przepadłych" w ZSRR na 100 tys.

Są to ciągle liczby wątpliwe. Wróćmy więc do podstawowych rozważań.

Analizując dane radzieckie od razu zauważa się podejrzany dziwołag: jeśli wzięto "w plen" 230.870 szeregowców i przeszło 8 tys. oficerów (wersja Kożenikowa), dlaczego wśród nich znalazło się tak mało podoficerów? Czyżby cieszyli się u czerwonych jakimś nadzwyczajnym uznaniem, wyróżnieniem, a może łaskawością?

Wszak proporcje były następujące: na jednego oficera przypadano w polskiej armii mniej więcej dwóch podoficerów i dwunastu szeregowców. Czynny stan liczebny wojska lądowego wynosił w czasie pokoju, według przeciętnej budżetowej 1938/39: oficerów - 16.300 (łącznie z Korpusem Ochrony Pogranicza), podoficerów - 30.000, szeregowców - 204.600. A razem z lotnictwem i marynarką wojenną: 17.300 oficerów, 32.000 podoficerów, 211.000 szeregowców. Łącznie 260.300, w tym - procentowo około 6,7% - oficerów, 12,3% - podoficerów, 81% - szeregowców. Podobnie było w rezerwie z nieznacznie większą liczbą szeregowych w stosunku do liczby oficerów. Skąd więc nagle odwrócenie proporcji wśród jeńców polskich w ZSRR?

Można snuć przypuszczenia, iż podoficerowie wzięci do niewoli udawali żołnierzy, ale przecież oficerowie także udawali np. cywilów, podoficerów lub zwykłych żołnierzy, więc proporcje powinny być zachowane.

A w ogóle szczegółowych pytań jest więcej: dlaczego liczby odnoszące się do jeńców mają być wiarygodne, a np. liczby odnoszące się do wszelkich innych strat niewiarygodne? Wiemy przecież z różnych źródeł, iż władze radzieckie dla celów propagandowych i użytecznych jedne liczby pomniejszały, a inne powiększały. Dla przykładu podawano nieprawdopodobną liczbę napadów polskich band - słownictwo według radzieckiej nomenklatury - na przedstawicieli wojskowych i cywilnych władz ZSRR, a równocześnie ograniczano do minimum liczby mówiące o mordowaniu Polaków przez NKWD i pomocnicze służby bezpieczeństwa, lub przez rzeczywiste bandy rozbójnicze, mszczące się na Polakach za pozorne krzywdy. Władze radzieckie aż do niedawna ukrywały zbrodnie w Katyniu, w Charkowie, w Twerze. Setki i tysiące innych zbrodni, w tym wielomilionowych na własnej ludności, ujawniono również dopiero niedawno. Dlatego też - między innymi - radzieckie dane dotyczące jeńców polskich w 1939 roku, uważać należy za nie miarodajne.

Liczby i fakty

Jest faktem dokładnie udokumentowanym, iż spośród 1,5 miliona zmobilizowanych we Wrześniu 1939 żołnierzy polskich około 1.050.000 znalazło się w oddziałach liniowych, pod bronią, zaś reszta - w ośrodkach zapasowych, w fazie organizowania jednostek wojskowych, w drodze do ośrodków lub kolejnych punktów koncentracji. Poza tymi liczbami znalazło się kilkaset tysięcy członków różnych organizacji paramilitarnych (Strzelec, PW,

ZHP, Junacy, związki rezerwistów itd.), a także luźni ochotnicy, którzy również "ciągnęli" w kierunku ośrodków koncentracji i mobilizacji.

Na skutek przesuwania się frontu, wszyscy ci rezerwiści, uzbrojeni i nie uzbrojeni, także ochotnicy, znaleźli się poza Niemnem, Bugiem i Sanem. Ponieważ w walce z Niemcami uczestniczyło około 700-750 tys. żołnierzy polskich, więc reszta, czyli około 300 tysięcy uzbrojonych żołnierzy z jednostek liniowych, znalazła się na terenach położonych na wschód od wymienionej linii rzek. Może liczba ta była trochę mniejsza ze względu na rozproszenie rozbitych dywizji i pułków, ale na pewno nie mniejsza niż 200 tys.

Razem ze wspomnianymi rezerwistami z ośrodków zapasowych, nie zawsze uzbrojonymi, ale przeważnie umundurowanymi, stanowiło to liczbę około 700-800 tys. żołnierzy i ochotników, z tego więcej niż połowa na obszarze pomiędzy Polesiem, a granicą z Węgrami i Rumunią, czyli tam, gdzie miano organizować ostateczną obronę i dokąd kierowały ich rozkazy odwrotowe.

Te 700-800 tysięcy nie mogło "stopnieć" w ciągu dwóch - trzech dni do liczby 230-245 tys. podawanych przez oficjalne czynniki ZSRR. Masowy powrót żołnierzy na stronę niemiecką był niemożliwy, gdyż wzdłuż Bugu i Sanu toczyły się walki Wehrmachtu z resztkami polskich dywizji, przejście przez granicę na Węgry i do Rumunii także było po 17 - 19 września "zabezpieczone" przez armię radziecką, ukrycie się takiej liczby wśród ludności niemożliwe ze względu na przewagę mniejszości narodowych (Ukraińcy, Żydzi, Białorusini) na tych terenach. Jeśli ukryło się tymczasowo nawet 100 tys., to i tak dużo, może trochę więcej powróciło na stronę niemiecką przechodząc na Lubelszczyznę, którą Rosjanie po kilkunastu dniach opuścili, zgodnie z umową radziecko-niemiecką z dnia 28 września 1939 roku.

Uwzględniając te możliwości, nawet w przesadnym zaokrągleniu, uzyskamy i tak liczbę 400-450 tysięcy oficerów, podoficerów i żołnierzy, wziętych do "niewoli" przez armię radziecką.

Można tę liczbę zmniejszyć jeszcze o kilkadziesiąt tysięcy żołnierzy zwolnionych do domów, a później wcielonych do armii radzieckiej, zwłaszcza Ukraińców i Białorusinów, których w przedwojennej armii polskiej było kilkanaście procent, szczególnie w piechocie, chociaż dostępne po wojnie dokumenty mówią o zwolnieniu przez dowództwo polskie żołnierzy o niepolskiej narodowości (niewielka część zbiegła sama, przeważnie Ukraińcy) w dniach 17 - 18 września ze służby w Wojsku Polskim, a więc natychmiast po wkroczeniu Sowietów.

Czy rzeczywiście aż tylu żołnierzy znalazło się w tamtych stronach zaanektowanych w 1939 roku przez ZSRR? Tak! Świadców jednoznacznie to potwierdzają. Świadcą o tym także dokumenty.

W setkach transportów kolejowych (być może było ich grubo ponad tysiąc), ewakuujących nasze oddziały zmobilizowane, także ośrodki zapasowe i oddziały wycofane z frontu, znajdowały się wielkie liczby żołnierzy! Głównie na liniach: Brześć - Kowel - Kiwerce (Łuck) - Równe; Kowel - Czartorysk - Sarny; Lida - Baranowicze - Łuniniec - Sarny - Równe - Dubno - Brody - Krasne - Tarnopol; Lwów - Halicz - Stanisławów - Kołomyja. Ponad 2000 km linii dwutorowych, na których zgromadzono niemal cały tabor PKP. A była to

wówczas potęga: prawie 5200 parowozów, 10.600 wagonów osobowych, 153.000 wagonów towarowych, nie licząc kolei wąskotorowych. Dwie trzecie tego taboru znalazło się za Bugiem i Sanem, załadowane wojskiem, ludnością, młodzieżą, ochotnikami i sprzętem wojennym, zaopatrzeniem, ewakuowanym wyposażeniem fabryk, bronią, amunicją, żywnością, rzeczami prywatnymi itp. To wszystko również zagrabiły władze ZSRR i do dzisiaj nie rozliczyły się z tego rozboju.

Poza tym na terenach wschodnich, do których nie dotarli Niemcy, znajdowały się wielkie garnizony wojskowe, koszary, magazyny i tym podobne obiekty, usytuowane w następujących miejscowościach (wymieniając od północy): Wilno, Lida, Grodno, Baranowicze, Słonim, Pińsk, Sarny, Kowel, Włodzimierz, Łuck, Równe, Dubno, Lwów, Złoczów, Tarnopol, Stryj, Stanisławów. W każdym z nich od tysiąca do kilku tysięcy żołnierzy, a nawet więcej, jak np. we Lwowie, w Kowlu, Włodzimierzu, Równem czy Tarnopolu. Poza tym wiele mniejszych obiektów.

Właśnie w okolicach Łucka, Kowla, Brześcia widziałem dziesiątki tysięcy żołnierzy, nie tylko w transportach kolejowych (piechota, kawaleria, artyleria, saperzy, tabory, składnice materiałowe i amunicyjne). Spotkałem również oddziały wojskowe w marszu odwrotowym, na postoju i biwaku, w miastach, małych miejscowościach i wioskach.

Grupy te, złożone z rozbitków, z rozproszonych poprzednio oddziałów, z uzbrojonych i nieuzbrojonych, ale umundurowanych rezerwistów i ochotników, pod dowództwem swoich oficerów, liczyły wraz z taborami, każdy z osobna, od kilkuset do ponad tysiąca, a nawet kilku tysięcy żołnierzy.

Ocenia się - z czym także się zgadzam jako świadek - że tylko na zachodnim i środkowym Wołyniu znajdowało się ponad 100 tys. żołnierzy i rezerwistów. Więc ilu było na innych terenach wschodniej Polski? Dla przykładu: na obszarze Lwowa, łącznie z województwem stanisławowskim i tarnopolskim, gdzie miała być zorganizowana ostateczna obrona, znajdowało się ponad 200 tys. żołnierzy i rezerwistów, z czego tylko niecała czwarta część przedostała się na Węgry i do Rumunii.

Z kolei wiele innych oddziałów polskich i uzbrojonych grup wojskowych próbowało przedrzeć się z południowej Lubelszczyzny poprzez Karpaty na Węgry (na Lubelszczyźnie walki toczyły się aż do pierwszych dni października) i przeważnie trafiało do niewoli radzieckiej (łącznie z gen. Andersem). Sporo jeńców wzięty radzieckie oddziały w środkowej i południowej Lubelszczyźnie, dokąd dotarły w ostatnich dniach września, a później cofnęły się za Bug.

Także kilkadziesiąt tysięcy żołnierzy i rezerwistów wpadło w ręce sowieckie na terenach północno-wschodniej części Polski (województwa wileńskie, nowogrodzkie i wschodnia część białostockiego, łącznie z Obszarem Warownym Grodno).

Podane liczby i uzasadnienia wystarczająco świadczą o tym, że liczba żołnierzy i rezerwistów, także umundurowanych ochotników z organizacji paramilitarnych, znajdujących się po 17 września 1939 r. na wschód od Narwi, Bugu i Sanu była bardzo duża, zatem przypuszczalna liczba wziętych do niewoli i aresztowanych musiała znacznie przekraczać oficjalne liczby podane przez ZSRR. Powszechnie wiadomo - a w Moskwie uważano to za obowiązujący kanon, iż łatwiej "rozliczyć" się z mniejszych liczb, niż z większych.

Gdy tekst poniższy był gotowy, a nawet częściowo (kilka stron maszynopisu) drukowany, w Moskwie opublikowano całkiem inne liczby dotyczące polskich jeńców wojennych w 1939 roku, niż te, które dotychczas podawano.

Przytaczam za prof. dr hab. Edwardem Pawłowskim informacje z wydanej w 1993 roku w Moskwie przez Wydawnictwo Wojskowe pracy pod tytułem: *Gryf tajności zdjęty. Straty sił zbrojnych ZSRR w wojnach, działaniach bojowych i konfliktach wojennych*.

Otóż według tego źródła Front Ukraiński w okresie od 17 września do października 1939 roku wziął do niewoli 392.334 żołnierzy polskich, w tym 16.723 oficerów, a Front Białoruski od 17 września do 30 września 1939 roku (więc w krótszym o dwa dni czasie) - 60.202 żołnierzy polskich, w tym 2.066 oficerów. Razem daje to liczbę 452.536 żołnierzy i oficerów polskich.

Sa to liczby dwukrotnie większe od podawanych dotychczas nie tylko przez stronę rosyjską (radziecką), ale także przez autorów polskich. Niech mi będzie wolno wyrazić satysfakcję, że dużo wcześniej wykazałem fałszywość poprzednich danych i podałem - według własnych obliczeń - liczby bardzo zbliżone do tych, które obecnie opublikowano w Moskwie. Prawdopodobnie są to liczby zbliżone do rzeczywistych.

Jeszcze większe liczby podaje Czesław Grzelak w swojej najnowszej (1994) książce pt. *Dziennik sowieckiej agresji - wrzesień 1939*, stwierdzając w oparciu o dokumenty radzieckie, że do dnia 10 października 1939 roku wojska Frontu Białoruskiego wzięły do niewoli 190.584 jeńców polskich, w tym 5.265 oficerów, 4.096 podoficerów i 181.223 szeregowych, a wojska Frontu Ukraińskiego 385.094 jeńców polskich, w tym 15.695 oficerów, 11.762 podoficerów i 357.637 szeregowców. Razem oba fronty "zagarnęły" 575.678 polskich jeńców. Ta liczba również może być prawdziwa.

Ponownie zwraca uwagę bardzo niska liczba oficerów w sowieckim wykazie jeńców. Inne szczególnie patrz wymieniona praca Czesława Grzelaka (bibliografia na końcu tekstu).

Walcząc do końca

Ważnym zagadnieniem w tych rozważaniach jest liczba żołnierzy, którzy polegli w walce z wkraczającymi oddziałami Armii Czerwonej oraz służbami bezpieczeństwa (NKWD i oddziały służby granicznej, specjalnie wzmocnione i rozbudowane z okazji agresji na Polskę).

Wzdłuż całej niemal granicy Polski z ZSRR, a także w głębi kraju, oddziały Korpusu Ochrony Pogranicza, jak również niektóre oddziały wojskowe, toczyły większe lub mniejsze boje z wkraczającym agresorem. Tych walk i potyczek było dziesiątki, może nawet setki.

W bojach wyróżniły się szczególnie pułki KOP: "Głębokie", "Sarny", "Podole", "Równe", "Sejny", oraz Zgrupowanie KOP złożone z brygady "Polesie", z pododdziałów sąsiednich pułków "Sarny" i "Baranowicze" oraz innych pododdziałów Wojska Polskiego pod dowództwem gen. Wilhelma Orlika-Rückemanna (od sierpnia 1939 r. dowódca KOP), które od 17 września do 1 października, w ciągłych walkach na prawie 300 - kilometrowym szlaku odwrotu od granicy radzieckiej, doszło do Lubelszczyzny, gdzie zostało rozwiązane.

Także duża samodzielna Grupa Operacyjna "Polesie" pod dowództwem gen. Franciszka Kleberga toczyła ciężkie boje z Niemcami (aż do 5 października 1939) oraz mniejsze walki z pododdziałami Armii Czerwonej. Krótsze w czasie, ale podobnie zacięte walki z wojskami radzieckimi toczyły na Grodzieńszczyźnie 101. i 102. pułki ułanów z Grupy Operacyjnej "Wołkowysk" gen. Wacława Przeździeckiego.

Również załogi wojskowe niektórych miast i mniejszych miejscowości uzupełnione ochotnikami stawiały opór wkraczającym oddziałom radzieckim, jak miało miejsce np. w Wilnie, Dżisie, Sarnach, Łucku, Kowlu, Złoczowie. Jednak najcięższe walki stoczyli obrońcy Grodna, niszcząc około 20 czołgów radzieckich i liczne samochody.

Z powodu braku dokładnej dokumentacji trudno ustalić liczbę żołnierzy polskich poległych w walkach z inwazyjną Armią Czerwoną. Analizy wskazują na liczbę około 10 tys. żołnierzy, albowiem trzeba wziąć pod uwagę żołnierzy poległych w środkowej i południowej Lubelszczyźnie oraz w rejonie Podkarpacia, a więc tych (także całe oddziały, jak np. Nowogródzka Brygada Kawalerii gen. Andersa), którzy przedzierali się zbrojnie na Węgry i do Rumunii.

Na tym nie koniec. Co najmniej kilka tysięcy żołnierzy zostało zamordowanych przez tak zwane bandy złożone z mniejszości narodowych, głównie z Ukraińców, Żydów, Litwinów, rzadziej Białorusinów, a także zamordowanych "w majestacie prawa" przez tak zwaną Czerwoną Milicję, tworzoną samorzutnie przez te same mniejszości. Ocalały liczne dokumenty, raporty, meldunki, zeznania, protokoły dotyczące tej kwestii.

A to jeszcze nie koniec haniebnej ewidencji, albowiem także Armia Czerwona i NKWD dokonały natychmiastowych mordów na polskich jeńcach wojennych. Na przykład po załamaniu oporu obrońców Grodna rozstrzelano około 300 polskich żołnierzy i ochotników, głównie spośród miejscowej młodzieży, która wzięła udział w obronie miasta. Liczba jeńców rozstrzelanych we wrześniu 1939 r. nie jest znana, bowiem władze ZSRR zbrodnie te skrzętnie ukrywały. Z niepełnych źródeł doliczyć się można, iż w ten sposób zamordowano co najmniej kilka tysięcy polskich patriotów.

Oficjalne źródła radzieckie zaniżają wszystkie te liczby, lub je podważają, przyznając, iż w walkach z armią radziecką zginęło kilka tysięcy Polaków (najczęściej - około 3 tys.). Ukrywają również własne straty: Władimir Mołotow na posiedzeniu Rady Najwyższej ZSRR w dniu 31 października 1939 r. poinformował, że własne wojska straciły w Polsce 737 zabitych i 1.862 rannych.

Natomiast historycy określają liczbę poległych żołnierzy ZSRR na co najmniej kilka tysięcy (nawet do 8-10 tys.) i ponad 10 tys. rannych.

Sowieci zagarnęli również nieprawdopodobną zdobycz (więcej niż Niemcy) w uzbrojeniu i sprzęcie kilka tysięcy samochodów i ciągników różnych typów, około 400 samolotów różnych typów (nie tylko wojskowych), ponad 900 armat, ponad 100 czołgów, ponad 10 tys. karabinów maszynowych, 300 tys. karabinów, około miliona pocisków artyleryjskich, kilkaset milionów naboju karabinowych, dziesiątki tysięcy koni, wozów, wagonów, parowozów i wszelkiego innego sprzętu, z czego nie rozliczono się do dzisiaj.

W relacjach i przekazach historycznych, także radzieckich, niektóre rejony lub okolice wschodniej Polski, wymieniane były częściej niż inne, a związane z nimi informacje były

niejasne i zagadkowe. Do takich okolic zaliczyć należy - obok Grodna, Wilna, Baranowicz, Kowla, Łucka, Włodzimierza, Tarnopola - wschodnią część Wołynia, pomiędzy Sarnami a Dubnem, z małym miasteczkiem Kostopol pośrodku. Właśnie obok tej miejscowości polski pociąg pancerny w dniu 18 września 1939 zniszczył pancerno-zmotoryzowaną kolumnę radziecką (4 samoloty pancerne, 3 ciągniki i kilkanaście ciężarówek). W tym rejonie działały po stronie radzieckiej m.in. 60. i 87. dywizja.

Linia kolejowa Sarny - Równe była odcinkiem wielkiej magistrali kolejowej biegnącej z Wilna poprzez Lidę, Baranowicze, Łuniniec, Sarny, Równe do Lwowa, nie zniszczonej jeszcze przez lotnictwo niemieckie, więc tą linią "spływały" z centralno-wschodniej i północnej Polski na południe transporty kolejowe z rezerwami, zaopatrzeniem, z wojskiem. Większość z nich utknęła na wspomnianym odcinku w wyniku zablokowania przejazdu do Lwowa.

18 września znalazły się tutaj pododdziały pułku KOP "Głębokie" (z rejonu na północ od Grodna) w drodze na Lwów lub Tarnopol. Prowadziły one walki z armią radziecką aż do 22 września, niszcząc sprzęt, w tym czołgi, zdobywając broń, biorąc jeńców.

W tym samym czasie w rejonie Sarn walczyły przez kilka dni z powodzeniem kompanie forteczne zadając Sowiecom spore straty okupione prawie 230 poległymi. Doprowadziło to Armię Czerwoną i NKWD do odruchów zemsty, w wyniku której po zdobyciu fortów rozstrzelano kilkudziesięciu oficerów i podoficerów.

Odcinek przygraniczny pomiędzy Sarnami a Kostopolem, nasycony większą niż gdzie indziej liczbą polskich oddziałów, stanowił jeden z aktywniejszych rejonów walk.

Dowódca dywizji radzieckiej (87. lub 60.) nacierającej na tym odcinku, meldował 19 września do sztabu w Horodnicy (po radzieckiej stronie granicy), iż w walkach o Kostopol (powinno być raczej: w rejonie Kostopola - uwaga J.P.P.) wziął do niewoli 17 polskich pociągów z wojskiem, armatami oraz sprzętem wojskowym i że "...nie jest w stanie ani tego ochraniać, ani konwojować. Grupy złożone z 800 jeńców konwojuje zaledwie 10 żołnierzy radzieckich, co stwarza określone niebezpieczeństwo". Meldował on, że dodatkowe jednostki nie przybywają, w związku z czym prosi o niezwłoczne wydelegowanie jednostek wojska z przeznaczeniem do konwojowania jeńców i ochrony miejsc ich zatrzymania. Meldunek ten przekazany został do Ludowego Komisarza Spraw Wewnętrznych Ukraińskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej. I z tego prawdopodobnie wyniknęły zgubne dla jeńców konsekwencje.

Inne dokumenty sowieckie z 19 września stwierdzały, iż na tym odcinku frontu i na jego zapleczu "...pojawiły się duże ilości uzbrojonych drobnych i dużych band, które napadają na grupy wojskowe oraz instytucje pozafrontowe Czerwonej Armii. Naprzeciwko komendantury w Horodnicy [zatem jakby na przedpolu Kostopola po polskiej stronie granicy - uwaga J.P.P.] działa banda licząca 500 ludzi, prowadząca walkę z radziecką armią"[...]". Raport z 20 września stwierdzał, że "na odcinku pomiędzy Ludwipolem, a Bielczakami konwój radziecki wzmocniony dwoma czołgami i dwoma armatami prowadzi grupę polskich jeńców w liczbie powyżej 1000 ludzi...".

Warto zapamiętać te nazwy, bo Ludwipol był ostatnim miasteczkiem nad rzeką Styr na drodze z Kostopola do ukraińskiego (już poza granicą) miasta Horodnica.

To wyjątki z dokumentów radzieckich, a teraz sięgnijmy do szczegółowego świadectwa polskiego.

Echa zbrodni

Na Śląsku, w środowisku kombatantów Września 1939 roku, od dawna krążyły bardzo poufne i bliżej nie sprecyzowane wieści o wielkim mordzie dokonanym przez armię radziecką na polskich jeńcach wojennych we wrześniu 1939 roku.

Brak świadków i dokumentów, jak również poufność i tajemniczość otaczająca tę wiadomość sprawiły, iż nie zawsze traktowano ją serio, pomijając już fakt, iż nikt nie zagwarantowałby w tamtych latach bezpieczeństwa osobie podejmującej się ustalić szczegóły zbrodni popełnionej przez żołnierzy "wielkiej, niezwycięzonej i przodującej w świecie socjalistycznym" Armii Czerwonej. Przecież nawet mniejszy kaliber spraw powodował, iż ludzie tajemniczo znikali lub przestawali mówić do końca życia.

Wygodnie więc było tę niesprawdzoną poufną wiadomość kwitować lekceważeniem, wzruszeniem ramion, powątpiewaniem, przypuszczeniem, że nastąpiła jakaś pomyłka! Wszak po wielu latach ludziom mieszają się różne fakty, daty, okoliczności. Może to była mała zbrodnia (kilku czy kilkunastu zastrzelonych), którą ktoś utożsamiał z Katyniem, może nawarstwiły się jakieś plotki, może we wspomnieniach połączono kilka podobnych, krwawych wydarzeń z 1939 roku?

Wiadomo, że zamordowano wielu oficerów i żołnierzy, urzędników, policjantów, przedstawicieli inteligencji, zwykłych cywilów. Pojedynczo, a także w małych i średnich grupach. W okolicach Tarnopola, Dubna, Równego, Łucka, Sarn, Brześcia, Baranowicz, Wilna, Kowna, Wołkowyska, Złoczowa, Brodów, a nade wszystko Grodna, o czym wyżej pisałem. Razem były to tysiące, a może dziesiątki tysięcy ludzi, ale nieznanym był fakt, żeby zamordowano w jednym miejscu więcej Polaków niż w Grodnie.

Nie bardzo wierzono w nieoficjalne i skąpe informacje o wielkim mordzie dokonanym przez Sowieców na polskich jeńcach wojennych w 1939 roku.

Jeden czy drugi świadek, który pod wpływem silnych bodźców patriotycznych (wizyta Papieża w Polsce, powstanie "Solidarności") objawiał wobec przyjaciół chęć wyjawienia tej tajemnicy, bardzo szybko wycofywał się z deklaracji i wręcz zaprzeczał własnym słowom.

Po dłuższych poszukiwaniach zlokalizowałem takiego świadka, R.L., w Piotrowicach, dzielnicy Katowic. Gdy udał się do niego nasz wspólny znajomy, aby wstępnie uzgodnić spotkanie, świadek wycofał się z poprzedniej deklaracji, stwierdzając, że obawia się zemsty. Wspominał tylko o koledze, z którym chciał uzgodnić szczegóły wrześniowych przeżyć. W jakiś czas później zmarł, zabierając tajemnicę do grobu.

Minęły lata i całkiem przypadkowo, w czasie kombatanckiego spotkania, spotkałem owego kolegę zmarłego, czyli drugiego świadka, który postanowił zeznać całą prawdę o masakrze dokonanej pod Kostopolem na polskich jeńcach wojennych. Nazywa się Edmund Zaremba.

Trzeba od razu uprzedzić pytanie: dlaczego akurat tu, w centrum Śląska, ujawnili się świadkowie tej zbrodni? Otóż dlatego, że tych kilka ocalonych z pogromu osób służyło w 1939 roku w kolejowym batalionie saperów zmobilizowanym w rejonie Katowic, Pszczyny,

Orzesza. Był wśród nich także znajomy świadka, Rudolf Limański (onże R.L. - można już ujawnić nazwisko) z Piotrowic.

Edmund Zaremba będąc już w niewoli radzieckiej w Kostopolu spotkał ppor. rez. Sassala, dobrze mu znanego sprzed wojny zwiadowcę, kierownika odcinka kolejowego w Katowicach-Ligocie i zapytał: "Dlaczego pan porucznik nie zdjął munduru, skoro sytuacja jest niebezpieczna?" Tamten odpowiedział: "*Nie godzi się oficerowi polskiemu zdejmować munduru*". Podporucznik rezerwy Mieczysław Sassal, urzędnik kolejowy z Katowic-Ligoty, zginął później w Kozielsku.

Główny świadek

Edmund Zaremba urodził się 5 listopada 1913 roku w miejscowości Piaski w dawnym powiecie Kępno. Służbę wojskową odbył w 29. pułku piechoty w Kaliszu, wyróżniając się sprawnością fizyczną, która później pozwoliła mu uratować życie. Posiadał Państwową Odznakę Sportową (Złotą) i Odznakę Grenadiera. Po odświeżeniu wojska w 1938 r. przyjechał do Katowic, gdzie otrzymał pracę na stacji Katowice-Piotrowice, na odcinku drogowym PKP. W 1939 roku przeszedł dodatkowe przeszkolenie jako telegrafista i wziął udział w ćwiczeniach manewrowych w rejonie Małkini. Powiatowa Komenda Uzupełnień w Pszczyńcu, której podlegały także Piotrowice, przydzieliła Edmunda Zarembę do batalionu saperów kolejowych. Dowódcą jednostki był mjr inż. Rogowski.

Bataliony te, posiadające dobry sprzęt i wyróżniające się wysokim poziomem wyszkolenia, wykazały niezwykłą przydatność we wrześniu 1939 roku utrzymując w stanie użyteczności linie PKP mimo nieustannych ataków lotnictwa niemieckiego. Szlaki kolejowe w Polsce zapewniały jedyny masowy środek transportu dla wojska.

Batalion kolejowy, w którym służył Zaremba, od pierwszych godzin wojny, często tuż za linią frontu naszych oddziałów, bombardowany z powietrza i ostrzeliwany przez niemieckie wojska lądowe, cofał się na wschód. Ze Śląska poprzez Kraków, Rozwadów, Lublin, Kowel, dotarł do Sarn, wjeżdżając na ostatnią na wschodniej stronie kraju linię PKP, biegnącą z północy, z Wilna do Lwowa na południe. Na tej dwutorowej linii nastąpiła niesamowita koncentracja różnych transportów kolejowych (od wojskowych po zaopatrzeniowe), kierowanych tutaj z centralnej i północnej Polski. Wszystkie one zgodnie z rozkazami zmierzwały do południowo-wschodniej części Polski, gdzie zamierzano prowadzić dalszą walkę z Niemcami. Ruch był zwolniony, naprawiano zniszczone mosty i przepusty, ale pociągi toczyły się na południe.

17 września coś się stało! Zatrzymali się właśnie w lesie pomiędzy Kostopolem a Równem. Nad transportem i całą okolicą pojawiły się pojedyncze samoloty, które rozpoznano jako radzieckie. Dowództwo pociągów oraz ludzi ogarnęło podniecenie! Co się dzieje?

Edmund Zaremba jako telegrafista był przy tym, wraz z kolegami, gdy jego dowódca batalionu, a zarazem komendant pociągu mjr inż. Rogowski, zdołał uzyskać telefoniczne połączenie kablem kolejowym z Równem, a być może Łuckiem. Dowódca zbłądł gwałtownie.

- Co się stało? - zaczęli pytać - Chłopcy! Rusczyli!

Dowódca zebrał ich w koło i pożegnał. - Na własną rękę się ratujcie, bo Ruscy teraz nas rozbroją. Weźcie sobie bieliznę (zmagazynowaną jako zapas w transporcie) i żywność, bo Ruscy wszystko zagarną!

Zjawili się kilka godzin później i zaczęli otaczać transport, rozbierać, rewidować, zabierać, co tylko wydawało się im wartościowe. Gdzieś w oddali słychać było strzelaninę, co świadczyło o prowadzonej walce.

Jeńców umieszczono na leżącej w pobliżu torów dużej polanie, ciągle doprowadzając następnych żołnierzy - całymi oddziałami, w małych grupach, a nawet pojedynczo. Dołączono także policjantów. Edmund Zaremba twierdzi, iż znajdujących się na polanie jeńców było więcej niż 2.000, może nawet 3.000.

Po trzech dobach z jeńców sformowano czwórkami długą kolumnę, której "końca nie było widać" - jak twierdzi Zaremba. Na czele kolumny znajdowali się oficerowie, w liczbie około 200, a za nimi Policja Państwowa, licząca około 50 ludzi. Konwojowali żołnierze piechoty radzieckiej.

Tak uformowana kolumna ruszyła powoli drogą w pobliżu torów do oddalonego o kilkanaście kilometrów Kostopola. Trwało to prawie dwa dni. Tam zatrzymano kolumnę na dłuższą chwilę w kościele i na sąsiednim placu, ale później zrezygnowano z postoju i nagle postanowiono skierować jeńców na szosę w kierunku Ludwipola i granicy.

"Gdy kolumna szła przez miasteczko, miejscowi Żydzi pluli na żołnierzy polskich, wyzywali najgorszymi słowami, rzucali w nich kamieniami" - wspomina z goryczą Edmund Zaremba.

Potem zaczęło się coś, czego świadek nie potrafił wówczas zrozumieć i dopiero później, łącząc pojedyncze wydarzenia w jedną całość, doszedł do wniosku, że każdy ruch Sowietów był z góry zaplanowany. Jeńców zaczęto bardzo rygorystycznie poganiać krzykami i strzałami w górę, także biciem kolbami, tak jak gdyby chodziło o to, żeby osiągnąć konkretne miejsce w zaplanowanym czasie.

" - Tych, co nie mogli przyspieszyć, a chwilami nawet biec. tych trzech czy czterech - wspomina Edmund Zaremba - co się wzajemnie podtrzymywali, tych Ruscy bili kolbami. Podobnie jak jednego z oficerów, który prawdopodobnie był ranny. Ponieważ nie mógł biec i leżał na ziemi, więc okładano go kolbami".

Równocześnie nastąpiło zamieszanie na innym tle, albowiem krasnoarmiejscy wykorzystując panujący rozgardiasz zaczęli nawoływać do ucieczki. Wręcz "nakazywać" ucieczkę, ale nikt się do tego nie kwapił. Jeńcy na razie nie widzieli takiej potrzeby, a niektórzy z nich uważali taką zachętę za prowokację. Gdyby uciekali, zaczęto by rzeczywiście do nich strzelać.

Może nie zgrano czegoś w czasie, a może po prostu sam tumult i krzyki na temat ucieczki wystarczyły potem do stwierdzenia w raporcie, iż miała miejsce próba buntu. Jeńcy tego wszystkiego nie rozumieli i dopiero później ci, co ocalili, składali elementy tej "kostopolskiej łamigłówki". Edmund Zaremba twierdzi, że była to zamierzona prowokacja.

Poganiani okrzykami: *prędzej! prędzej! uciekać!* osiągnęli wkrótce miejsce, prawdopodobnie z góry zaplanowane, w odległości co najmniej 3 km od Kostopola, ale mogło być nieco dalej, na szosie prowadzącej do Ludwipola i granicy z ZSRR.

Kazano im usiąść na poboczu drogi i odpoczywać!
Działo się to około godz. 11.00 przed południem.

Mordercy przyjechali ze wschodu

Nagle, od strony granicy nadjechała kolumna wojskowych ciężarówek w liczbie co najmniej 15, załadowanych wojskiem uzbrojonym w broń maszynową, a także w karabiny. Kolumna samochodów stanęła dokładnie naprzeciw kolumny jeńckiej, pomimo że z nikim wcześniej się nie porozumiewano. Dokładnie przed frontem całej grupy jeńców, tak jakby to było umówione. Pierwsza ciężarówka stała naprzeciw końca kolumny jeńców, a ostatnia ciężarówka naprzeciw czoła kolumny jeńckiej.

Wówczas kazano Polakom powstać, a znajdujący się na pierwszym samochodzie oficer, prawdopodobnie dowódca radzieckiego oddziału, doniosłym głosem wydał dwukrotnie rozkaz otwarcia ognia do jeńców. Kilkadziesiąt, a może kilkaset łuf zaczęło pruć seriami do całkowicie zaskoczonych, a później śmiertelnie przerażonych ludzi.

Tego, co się tam działo, Edmund Zaremba nie jest w stanie opisać. Niektórzy jeńcy, ciągle jeszcze zdumieni, wołali: - Co wy robicie! Jesteśmy jeńcami! To nieporozumienie! Nie mamy broni!

Byli wśród nas żołnierze pochodzący z terenów wschodnich i umiejący mówić po rosyjsku. Oni właśnie próbowali informować o tym, że to bezbronni jeńcy, że nikt nie uciekł, że 17 września zakończyli wojnę! Część jeńców od razu podniosła ręce do góry, ale i to nie wstrzymało rzezi!

Rozrywani kulami padali jeden na drugiego. Niektórzy prosili Boga o miłosierdzie lub wzywali swych najbliższych. W ostatniej minucie życia krzyżowały się najróżniejsze okrzyki: Jezu! Mamo!.. Dzieci moje kochane..., Najświętsza Matko! Błaganie o litość, lament, płacz, krzyki! Strzelano z najbliższej odległości, bo jeńcy stali obok samochodów.

Nie da się opisać dokładnie i odtworzyć tej chwili... - Edmund Zaremba zawiesza głos, nie może mówić, wydobywa z siebie pojedyncze, urywane dźwięki, jakby ta chwila jeszcze trwała... "- zastrzelono nawet żołnierza z eskorty, który albo nie zdążył w porę uskoczyć, albo nie zrozumiał poprzednich rozkazów..."- o czym, już po wojnie, opowiedział Edmundo wi Zarembie Rudolf Limański z Piotrowic, także żołnierz tego batalionu kolejowego, który pod Kostopolem został ranny i cudem przez ludność uratowany. To on powiedział Zarembie, iż z masakry ocalało niewiele więcej niż 20 osób.

Wzdłuż samochodów kłębił się ruchomy wał rannych i zabitych, krew tryskała wokoło, a lufy radzieckich żołdatów pręły ogniem bez przerwy. Ci spośród jeńców, którzy rzucili się do ucieczki do tyłu, w pola, puste i dosyć równe, nie odbiegli zbyt daleko, albowiem i tam także kosiły ich serie. Większe szanse miało kilku, a może kilkunastu jeńców, którzy odrucho, podobnie jak Edmund Zaremba, znajdując się blisko samochodów, rzucili się obok nich lub pod nimi do ucieczki w przeciwną stronę, gdzie las był bliżej i gdzie pola poprzecinane były rowami pośród kępek krzaków.

Biegając, pan Zaremba, trafił nogą na rów, zwałił się jak długi, a w tej samej chwili przecieciała nad nim seria pocisków. Co chwilę słyszał ich świst, jednak jak później się zoriento-

wał, w tę stronę strzelano mniej intensywnie, może i dlatego, że uciekało tędy tylko kilku lub kilkunastu żołnierzy, co w pewnej chwili dostrzegł kątem oka.

Modląc się i wzywając Pana Boga, dobiegł do zbawczego lasu i pędził nadal w walce o życie, o ten medal, który w pewnych chwilach jest więcej wart, niż wszystkie medale olimpijskie razem wzięte. Za sobą ciągle słyszał serie i pojedyncze strzały, którymi dobijano żyjących i rannych.

Tracił poczucie czasu wraz z ubywającymi kilometrami. Już dawno wyrzucił wszystko, co mu ciążyło, a więc chlebak z bielizną i drobnymi rzeczami, ukryte przedtem konserwy i suchary, a nawet manierkę z wodą. Zwolnił nasłuchując, skąd dobiega warkot motorów oraz odległe nawoływania. Czuł się jak ostatnie w nagonce zaszczute zwierzę, co chwilę przystawał i odpoczywał, to znowu zrywał się i biegł, biegł, biegł...

Minęło południe, słońce zaczęło się chylić ku zachodowi, a on ciągle uciekał. Czasem widział z daleka jakieś zabudowania. Unikał ich podobnie jak całych osiedli, żeby nie dostać się w ręce Sowieców lub Ukraińców.

Wreszcie dobiegł do jakiejś większej rzeki (później okazało się, że to Stucz), rzucił się w nurt i nagle strach ponownie zjeżył mu włosy. On, dobry pływak, zaczął tonąć. Ciało było tak wyczerpane, mięśnie tak zmęczone, iż w zetknięciu z zimną wodą nastąpiło gwałtowne ich zdrętwienie, wręcz sparaliżowanie. Zostały mu tylko ręce, co chwilę wiotczejące. Gdzieś na środku rzeki udało mu się złapać grunt, próbował rozmasować nogi, bezskutecznie. Przerażony, obawiając się pościgu, walczył z wodą samymi rękami, aż, niemal tonąc, uchwycił się jakiejś gałęzi na brzegu i - jak sam określił - "resztkami sił wykulnął się z rzeki"!

Wtedy również zauważył nad wodą dwóch innych polskich żołnierzy. Razem udali się w kierunku lasu pokonując kilka kilometrów. W drodze tracili przytomność ze zmęczenia. Dotarli do niewielkiego zagajnika, zaszyli się w gąszczu i tam zasnęli (z map wynika, że przebyli w linii prostej od miejsca mordu około trzydziestu kilku kilometrów, a licząc drogą w terenie, trasa ich ucieczki wynosiła około 40 km).

W nocy obudziło ich zimno i szron. Zaczęli rozglądać się za jakąś pomocą, z chłodu i głodu szcękając zębami. Wszystkie zapasy żywnościowe poprzednio wyrzucili. Znowu przebyli kilka kilometrów. Wreszcie szczęście im dopisało. Niedaleko lasu zauważyli światełko w oknie. W domu, do którego zapukali, a był on położony - jak się okazało - w kolonii Bielczakowskiej w gminie Moczulanka, mieszkała Polka, Janina Solczkowska. Jej mąż służył w 8. pułku ułanów w Krakowie i jeszcze z wojny nie wrócił. Przyjęła uciekinierów, jednak bojąc się sąsiadów, przeprowadziła ich do innego domu polskiego, gdzie posilili się i zostawili wszystkie rzeczy wojskowe, łącznie z bielizną, mającą stemple jednostek mobilizacyjnych.

Przebrali się w łachy cywilne, albowiem biedni ci ludzie nie mieli lepszych ubrań. Edmund Zaremba wyglądał teraz jak "najgorszy dziad", w dodatku nie miał żadnych dokumentów.

Następnego dnia Janina Solczkowska wyprowadziła byłych żołnierzy, a teraz polskich "żebaków", omijając ukraińskie siedziby. Zgodnie z poprzednią umową ruszyli oddzielnie, każdy w swoją stronę.

Ciągle czeka na sprawiedliwość

Zaremba trochę błądził i kręcił się po okolicy. Po jakimś czasie, chcąc napić się wody, znowu trafił do polskiej chaty, a tam zastał męża i synów gospodyni, którzy trzeci dzień jeździli rowerami pod nie tak odległy las, gdzie radziecka jednostka zwoziła trupy polskich żołnierzy, zrzucala je do głębokich dołów i przysypywała wapnem. Trwało to prawie trzy doby. Wszyscy Polacy mieszkający w okolicy byli zdruzgotani masowymi mordami.

Edmund Zaremba ruszył na północ, a jego dalsze losy także obfitowały w niebezpieczne przygody. Dwukrotnie zdołał zbiec radzieckim służbom (zamknięty z polskimi aresztantami w wagonie, jechał już w głąb Rosji), wykazując się sprytem i determinacją. Pomagali mu spotykani po drodze Polacy, których losy wojny rzuciły także na tułaczne trasy. W końcu, narażając życie, ukryli go w swych wagonach urzędnicy Polskich Kolei Państwowych, którzy w wyniku porozumienia z Sowietami byli ewakuowani z powrotem do centralnej Polski, teraz już pod okupacją niemiecką.

Później, gdy dotarł w rodzinne strony, włączone do III Rzeszy, również przeżył wiele niebezpiecznych chwil. Przez długi czas był człowiekiem bardzo podejrzanym, nie posiadającym żadnych dokumentów i żadnych świadków z okresu ostatnich dwóch miesięcy swojego życia. Został aresztowany, skierowany do obozu, później do jednostki budującej tor, widział nawet z bliska Oświęcim, wznosząc tam dodatkowe urządzenia stacyjne. To były już jednak inne dzieje.

Te najtragiczniejsze przeżycia wyryły w pamięci Edmunda Zaremby niezatarte ślady. Nawet po tylu latach pamięta szczegóły topograficzne w terenie, zgodnie z przedwojennymi mapami taktycznymi (1 : 100 000) okolic Kostopola i Ludwipola.

Gdyby nawet Edmund Zaremba pomylił się o jeden dzień w określeniu daty, lub o kilka kilometrów w określeniu miejsca, a nawet w określeniu liczby zamordowanych (może było mniej niż 2.000 polskich jeńców, a może o kilkaset więcej?) to i tak **POZOSTANIE FAKTEM, ŻE W DNIU 21 LUB 22 WRZEŚNIA 1939 ROKU, PRZY SZOSIE ŁĄCZĄCEJ MIASTECZKA KOSTOPOL I LUDWIPOL ZMOTORYZOWANY ODDZIAŁ ARMII CZERWONEJ LUB NKWD ZAMORDOWAŁ OKOŁO 2.000 POLSKICH JEŃCÓW.**

Ocalały z tego pogromu Edmund Zaremba twierdzi, że gdyby znalazł się w tamtej okolicy, mógłby wskazać to miejsce, tak mu się wyryły w pamięci wszystkie okoliczności. Po tylu latach nie będzie to takie łatwe ani takie proste. W tamtych okolicach także zmieniło się bardzo wiele, zniknęły niektóre lasy, powstały nowe drogi, wyrosły osiedla. Jednak spróbować warto!

Poza tym, być może żyje jeszcze innych żołnierzy, świadek tej potwornej masakry, a może żyją jacyś cywilni świadkowie, mieszkańcy tamtych terenów zarówno ze strony polskiej, jak i ukraińskiej? Może oni mogliby wnieść nowe szczegóły do tego makabrycznego wydarzenia? Każdy ślad, każdy głos w tej sprawie będzie cennym dowodem.

Bibliografia:

1. [Wojciech Roszkowski] **Andrzej Albert**, *Najnowsza historia Polski 1914 -1993*. tom I, część II (1939-1945), 1994.
2. **Henryk Dominiczak**, *Granica wschodnia Rzeczypospolitej Polskiej w latach 1919 - 1939*, 1992.
3. **Leszek Gondek**, *17 września 1939 - agresja Stalina na Polskę*, 1990.
4. **Czesław Grzelak**, *Dziennik sowieckiej agresji - Wrzesień 1939*, 1994.
5. **Czesław Grzelak**, **Stanisław Jaczyński**, **Eugeniusz Kozłowski**, *Agresja sowiecka na Polskę w świetle dokumentów 17 września 1939 r.*, t. I, *Geneza i skutki agresji*, 1994.
6. **Andrzej Krzysztof Kunert**, *Rzeczpospolita walcząca. Wrzesień - grudzień 1939*, 1993.
7. [Ryszard Szarłowski] **Karol Liszewski**, *Wojna polsko-sowiecka 1939*, Londyn 1986.
8. **Jerzy Łojek**, *Agresja 17 września 1939*, 1990.
9. **Leszek Moczulski**, *Wojna Polska (wrzesień - październik 1939)*, 1972.
10. **Władysław Pobóg-Malinowski**, *Najnowsza historia polityczna Polski*, tom III (1939 - 1945), 1967.
11. *Polskie Siły Zbrojne w II wojnie światowej*. t. I *Kampania wrześniowa*, części 3 i 4, 1959 - 1986.
12. *Napaść sowiecka i okupacja polskich ziem wschodnich 1939*, 1985.
13. *Mały Rocznik Statystyczny 1939*.
14. **Zbigniew Siemiaszko**, *W sowieckim osaczeniu 1939 - 1943*, 1991.
15. "Wojskowy Przegląd Historyczny", 1989, nr 3: **Eugeniusz Kozłowski**, *Końcowy okres wojny obronnej Polski (17.09 - 6.10.1939)*; **Rajmund Szubański**, *Krótki zarys działań wojskowych na wschodnich terenach II RP we wrześniu 1939*.
16. "Wojskowy Przegląd Historyczny", 1990, nr 3 - 4: **Mieczysław Bielski**, *Obrona Grodna we wrześniu 1939*.
17. "Wojskowy Przegląd Historyczny", 1991, nr 3 - 4: **Eugeniusz Kozłowski**, *Agresja na Polskę we wrześniu 1939: próba bilansu sił*.
18. "Wojskowy Przegląd Historyczny", 1992, nr 3: **Wiktor Krzysztof Cygan**, *Zbrodnie sowieckie na jeńcach wojennych we wrześniu i październiku 1939*; **Albin Głowacki**, *Jeńcy Polscy w ZSRR wrzesień 1939 - lipiec 1941*.
19. "Wojskowy Przegląd Historyczny", 1993, nr 1 i 2: **Stanisław Jaczyński**, *Wybór dokumentów do agresji 17.09.1939 r.*, cz. I i II.
20. "Wojskowy Przegląd Historyczny", 1993, nr 2: **Jacek Ślusarczyk**, *Agresja sowiecka na Polskę w 1939 r. i jej konsekwencje dla Polaków w latach 1939 - 1941*.
21. "Wojskowy Przegląd Historyczny", 1993, nr 3, 4, 1994, nr 1 - 2, 3: **Czesław Grzelak**, *Wybór dokumentów do agresji 17.09.1939*, część III, IV, V i VI.
22. **Apoloniusz Zawilski**, *Agresja sowiecka na Polskę 17 września 1939 roku* - suplement do najnowszego wydania znanej publikacji tego autora *Bitwy Polskiego Września*, 1994.







Fotografie dokumentujące odkrycie przez Niemców w 1943 r. masowych grobów polskich oficerów w lesie Katyńskim. Negatywy udostępniło Muzeum Katyńskie w Warszawie (Oddział Muzeum Wojska Polskiego). Repr. T. Stani.